

Wybryki oniryzmu 4

przełożył Miłosz Waligórski

Delegatów na konferencję zakwaterowano w pałacyku za miastem od czterdziestu lat będącym w rękach partyjnej biurokracji. Tam też zorganizowano przyjęcie, któremu patronował premier. Wprawdzie sam się nie pojawił, tłumacząc nieobecność pilnymi obowiązkami, ale przysłał jednego z zastępców – przejętego swoją rolą okularnika. Wicepremier najpierw wygłosił kilka drętwych, uprzejmościowych frazesów o wzlotach i upadkach tysiącletniego współlistnienia Słowaków i Węgrów, po czym pochwalił trzeźwą odwagę najlepszych synów obu narodów, na co obecni na sali najlepsi synowie wyszczerzyli w uśmiechach zęby i zaklaskali w dłonie.

Wypity szampan bardzo szybko uderzył Koszy do głowy. W momencie, kiedy wicepremier, również obciążony masą spraw do załatwienia, ulatniał się z przyjęcia, przy stole z przekąskami Kosza zoczył Kovaczika. Jego wyraziste, acz szlachetne rysy przypominały mu twarz pewnego angielskiego arystokraty, którego zdjęcie widział kiedyś chyba w jakimś czasopiśmie. Obok Kovaczika stały dwie panie, a on dość lekceważąco coś im tłumaczył. Dostrzegalna w jego zachowaniu arogancja budziła niechęć Koszy i utwierdzała go w przekonaniu, że zapowiadane z pompą spotkanie słowacko-węgierskiej inteligencji musi zakończyć się takim samym fiaskiem, jak, dajmy na to, zrodzony tyle z dobrej woli, ile z naiwności pomysł wspólnego, słowacko-węgierskiego lotu w kosmos. Z kieliszkiem szampana w ręce przecisnął się do stołu z przekąskami. Do wyboru były kanapki i kawałki pieczeni. Kovaczik zmagał się z klopsikiem i dalej, żywo gestykulując, coś wyjaśniał. Towarzyszące mu damy słuchały go z lekkim powątpiewaniem.

– Ostrożnie z tym nożem – zwróciła mu uwagę jedna z nich, ta mniej piękna, która niedobór wdzięku rekompensowała, obwieszając się biżuterią.

Kovaczik, pewnie ze zdziwienia, upuścił nóż. Tym, który podniósł go z dywanu, był Kosza. Z ust wyrwało mu się dla niego samego niejasne i zaskakujące zdanie:

– Gallagher też to powiedział.

Kovaczikowi uwiązł kęs w gardle, do górnej wargi przyklepiła się kruszynka bułki. Brązowymi marzącymi oczami rzucił Koszy refleksyjne spojrzenie i zapytał:

– A to kto, ten Gallagher?

Teraz z kolei zadumał się Kosza.

– Pojęcia nie mam – wyznał.

Zaśmiali się nerwowo. Kosza przedstawił się.

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? – zastanawiał się głośno Kovaczik.

– Wydaje mi się, że tak.

– Ale wiem, że się nie znamy.

– Właśnie w tym rzecz!

– A o co chodzi z tym Gallagherem?

– Najchętniej bym powiedział: „Zapomnijmy o nim!”, ale mówiąc szczerze, nie mam najmniejszego pojęcia, kim w ogóle jest ów Gallagher, o którym mielibyśmy zapomnieć.

Nieźle się przy tym uśmiali. Śmiały się też dwie towarzyszące im damy, a to dlatego, że ni w ząb nie rozumiąły, z jakiego powodu śmieją się oni.

Na przyjęciu Kosza wypił trochę więcej niż trzeba, dlatego działał się z nim później tak dziwne rzeczy. Przez cały wieczór dokuczało mu silne pragnienie, jakby co najmniej od czterdziestu ośmiu godzin nie przyjmował żadnych płynów. Próżno wlewał w siebie niezliczone ilości piwa – pragnienie ledwie łagodniało. Co więcej, dręczył go głód, którego nie zaspokoiliby nawet spałaszowanie wszystkich wielkich jak młyńskie koła talerzy z sałatkami. W kłębiącym się przy stole tłumie tym razem wypatrzył go Kovaczik. Przyglądał mu się badawczo jak policjant albo egzaminator.

– Jestem strasznie spragniony – narzekał.

– Pewnie do piwa dosypali soli – dzielił się podejrzeniami Kosza. – Mnie też ciągle chce się pić.

– Pan też jest historykiem?

Kosza poczuł w ustach cierpki smak.

– Nie, skąd – zaprzeczył. – Tylko pisarzem.

Kovaczik dumnie się wyprężył.

– Ja jestem historykiem.

– Dobrze, pozwoli pan, że wyjdę teraz trochę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wśród drzew i krzewów znalazł rozklekotaną ławeczkę z deskami poharatanymi szczyrykiem. Usiadł. Wokół krążyły tajemnicze postaci, szybko jednak domyślił się, że to nie duchy, ale pracownicy ochrony. W ogóle nie zwracali na niego uwagi.

Kosza rozluźnił mięśnie, ogarnęła go nieprzemierzona sennałość, zaczęły kleić mu się oczy. Falując niczym morze, otaczała go ciemność. Ławka zmieniła się w barkę, słone gorące podmuchy smagały mu twarz, raz po raz migotało przed nim bezkresne lustro wody. Zakręciło mu się w głowie. Co się dziwić, to od alkoholu, pomyślał. Jeszcze tu zasną, zrobię z siebie pośmiewisko, a rano wyrzucą mnie z parku służby porządkowe. Lepiej będzie, jak wrócę do pałacu i się położę.

W recepcji pokoje przydzielała drobna jowialna kobietka. Jej pucołowatą twarz zobitoł wąsik, meszek raczej, jakby w stadium embrionalnym zdecydowała, że urodzi się chłopcem i w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Pańskim współlokatorem będzie pan Kovaczik – powiedziała i podała mu klucz.

– Pan Kovaczik?

– Tak – powtórzyła. – Chyba że ma pan coś przeciwko.

– Nie, nie, skąd! Już się poznaliśmy.

– W takim razie życzę dobrej nocy.

Nie zdążył się jeszcze wypakować, a Kovaczik już był w pokoju, blady i w złym nastroju. Kosza zaproponował, by przeszli na ty. Kovaczik wyciągnął butelkę whisky. Pili, a napięcie między nimi raptownie malało i zaczynała zawiązywać się wielka słowacko-węgierska przyjaźń. Rozmawiając, stwierdzili wspólnie, że historia nie może i nigdy nie będzie mogła przyznać racji ani Słowakom, ani Węgrom, bo prawda nie podlega jej kompetencji. Tylko Bóg ma prawo oddawać sprawiedliwość. Darmo więc szukają jej ci, którzy są daleko od Boga. Ich życie to nic więcej jak błędzenie w labiryncie. Kosza i Kovaczik zgodzili się też co do tego, że w Europie nie ma dwóch tak podobnych do siebie narodów jak Węgrzy i Słowacy. Łączą ich obyczaje, tradycja, mentalność, o tysiącletnim braterstwie krwi nawet nie wspominając.

Kiedy trzeci raz osuszyli szklanki, Kosza wstał i zatoczył się do łazienki. Jeszcze jeden tyk, a padłby na podłogę. Napełnił wannę i zanurzył się w wodzie, najpierw po szyję i zaraz głębiej, po nos. Przed oczami zamigotały mu fale i zamroczenie minęło. Rozejrzał się. Granica morza kreśliła wokół linii horyzontu. Wydawało mu się, że od rozbicia statku upłynął cały wiek. Potworne pragnienie lepiło mu język do podniebienia, a palące słońce, zadając na razie jeszcze niewidoczne rany, pokrywało ciało warstwą soli. Nie mieli już zapasów żywności.

Nagle się ocknął. Williams przykładał mu do gardła nóż.

– Ostrożnie z tym nożem – wykrztusił, niemal sylabizując. W wyschniętych ustach z trudem poruszał językiem.

– Gallagher! – syknął zza jego pleców Williams. – Słuchaj, co mam ci do powiedzenia, irlandzki psie! Muszę cię zabić, bo kiedy Anglika i Irlandczyka spotyka tak paskudny los, Irlandczyk ma obowiązek złożyć z siebie ofiarę.

– Tylko dlatego, że jestem Irlandczykiem?

– Nie. Dlatego że ja jestem Anglikiem, głodnym Anglikiem.

– Ale ja też jestem głodny.

– E, co innego głodny Irlandczyk, a co innego Anglik.

– Zaufajmy opatrności!

– Twoja krew pozwoli mi ugasić pragnienie.

Gallagher uderzył w błagania.

– Poczekajmy przynajmniej jeden dzień. Wierzę w cuda!

– Słuchaj no, Gallagher. Nie myśl, że cię zabiję tylko dlatego, żeś Irlandczyk. Po prostu, jeśli tego nie zrobię, umrę z głodu. Mnie też trzyma przy życiu złudna nadzieja, ale mogę ocaleć tylko dzięki twojemu ciału i twojej krwi. Więc się nie gniewaj, kolego! Niech Bóg zlituje się nad moim strasznym grzechem.

Chwilę później Kosza opatulony w płaszcz kąpielowy dygotał przed wanną i z przerażeniem patrzył, jak, wirując, w odpływie przepadają ostatnie krople wody. Przed sobą miał obłąkaną twarz Williamsa. Po powrocie do pokoju zestawił ją z twarzą Kovaczika, który, choć w piżamie, wciąż jeszcze nie spał.

– Źle się czujesz? Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Kosza ostatnim wysiłkiem woli panował nad emocjami. Po chwili wahania zdobył się na pytanie:

– Powiedz, Kovaczik, wierzysz w reinkarnację?

Kovaczik usiadł na łóżku, zrobił duże oczy i nagle wybuchnął cokolwiek infantylnym i zniewieściałym chichotem.

– Oszalałeś? Oczywiście, że nie.

– Ja też raczej nie.

– To dlaczego pytasz?

– Chyba dlatego, że za dużo dziś wypilem.

Rano obudziły Koszę świecące mu prosto w twarz ostre promienie słońca. Kovaczik ogarnął się w łazience i wyszedł z niej elegancki niczym reklama Pierre’a Cardina.

– Jak spałeś? – zagadnął.

– Jak zabity.

– Spóźnimy się na śniadanie.

Tak też się stało. Do restauracji przyszedli ostatni, co personel skwitował karcącymi spojrzeniami. Mimo to nie spieszyli się z jedzeniem. Kosza tylko dłubał w talerzu, za to Kovaczik śniadał całym sobą, bez reszty oddając się gryzieniu i łapczywemu chłęptaniu kakao.

– Jestem piekielnie głodny – tłumaczył się.

Kosza milczał. W połowie wciąż spał snem sprawiedliwego. Ostupiał, kiedy po takim obżarstwie Kovaczik zamówił jeszcze wódkę.

– Tak wcześnie?... – zdziwił się.

Kovaczik machnął ręką.

– Rano nigdy nie piję – wyznał. – Ale teraz muszę ci coś opowiedzieć.

Stuknęli się kieliszkami. Kosza starał się robić wrażenie jak najbardziej przyjaznego i zainteresowanego.

– Ja nie spałem tak dobrze jak ty – zaczął Kovaczik. – Ale nie będziesz się gniewał?

– Nie, dlaczego miałbym się gniewać?

– Dobrze, no to ci opowiem. W nocy miałem głupi sen. Śniło mi się, że jesteśmy rozbitkami, my dwaj, czeka nas śmierć z głodu albo z pragnienia, a ty wyskakujesz z wielkim nożem i chcesz mnie poćwiartować, bo tylko jeden z nas ma szansę na przeżycie... Wtedy się obudziłem. To było straszne. A ty chrapałeś w najlepsze na drugim łóżku. Myślałem, że cię uduszę. Niezła bzdura, co?

Kosza pokiwał głową.

– No – zgodził się.

– Jasne, ja też wczoraj sporo wypilem, ale ten niedorzeczny sen to przez mój wykład. Przekonywałem w nim, że dla nas możliwe są tylko dwie drogi: pojednanie albo kanibalizm. Co więcej, używałem właśnie tego głupiego słowa – „kanibalizm”. Skąd w ogóle przyszło mi do głowy?... Nie jesteś zły, że ci to opowiedziałem?

Kosza ruchem ręki dał do zrozumienia, że nic a nic się nie gniewa, po czym wyduśił z siebie to, co męczyło go już dobrych kilka minut:

- Spokojnie. Twój sen to zemsta Gallaghera.
- No masz! Powiedz no, ten Gallagher to jakiś twój konik?

Podszedł do nich zażywny pan i niemal siłą odciągnął od stołu Kovaczika, który wprawdzie początkowo się opierał, ale że był pierwszym przedpołudniowym prelegentem, nie miał wyboru. Dumnie wyprostowany przeparadował przez restaurację, wszedł do sali i zajął miejsce za pulpitem mównicy. Kosza pomyślał, że cokolwiek stało się między nimi w przeszłości, tej nocy za to zapłacił. Od dzisiaj mogą być choćby i dobrymi przyjaciółmi.

(1992)



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Krzesiwo*, Zdrojowy Teatr Animacji, Cieplice 2004 (Król, Królowa)



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Wojna o echo*, Teatr Baj Warszawa 2006 (Królewicz)